Rok 1898. Lwów, dnia 18. lipca. Nr. 28.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Dokończenie.

— Mnie także. Zresztą, posiadam moje wiadomości od Mortensena, który mimo wszystkich łapek znalazł dostęp do dworu. Ach jakże lituję się nad panem, doktorze, że uciekasz od tego wszystkiego!

Twarz jego stała się nagle tak zwiędłą i starą, że Janowi żal go się zrobiło.

— Jedź pan z nami, szambelanie.

— Jestem przecież w uniformie!

Gdy Jan się uśmiechnął, dodał:

— Ah, sądzisz pan, że to był kiepski żart? Wcale nie. Widzisz pan: ci w uniformach pozostają i formują w tym kraju — nieuformowanych i obdartych. Ostatni szczur, który okręt opuszcza, staje się naczelnikiem przytułku dla biednych. To posada przyszłości: królewsko-norweski starszy państwowy naczelnik przytułku dla biednych z rangą i uniformem komendanta powiatowego. Sambym się starał o tę posadę, gdybym nie był popadł w niełaskę. A prócz tego — ciągnął dalej nalewając sobie nową szklankę — gdybym się mógł obyć bez miasta, to miasto naprawdę nie obyłoby się bezemnie. Jakby się tam wiodło tym biednym ludziom, którzy teraz w tej małej karykaturze stolicy śpią, gdyby jutro rano zbudzili się bez szambelana? Ot widzi pan, mój kochany ucikinierze, to, co nas tutaj dręczy, to mała wątpliwość, mała obawa przed tem, że przecież nie wszystko byłoby tak u nas *comme il faut*, nie tak skończenie po europejsku; na to nawet nie poradzą łapki Mortensena! Ale na to jest szambelan Delphin — i kilku innych, którzy widzieli świat, albo też udają, że go widzieli; znają wszystkie nazwy i napisy, umieją z całą powagą zrobić woltę, układają całą teraźniejszość w format kieszonkowy, grupują palące kwestje dnia około pięciu, sześciu dowcipnych słówek. a nakoniec łączą gruntowną znajomość mód kobiecych z niezachwianą powagą w najdzikszej rozmowie urzędowej — oto niezbędni ludzie w stolicy. Oh! — zawołał nagle — tak mi się to wszystko znudziło, tak znudziło!..

Na twarzy szambelana osiadł taki wyraz rozpaczy, że Jan spostrzegł, iż to coś więcej niż upicie się. Położył mu rękę na ramieniu i rzekł z szczerem współczuciem:

— Posłuchaj pan... nie jesteś szczęśliwy... i ja także tutaj nie; nie wielu tu zapewne szczęśliwych na pokładzie. Ale... jedź pan z nami!

Szambelan podniósł głowę z sarkastycznym uśmiechem:

— Przypominasz mi pan swego dostojnego ojca, doktorze. To samo właśnie powiedział mi przed paru godzinami: „Trzeba, abyś pan pojechał!“ Usłucham jego rady i zacznę się starać o posadę szefa policji w Aalesund.

Jan Bennechen odstąpił rozczarowany; bolało go to. Szambelan ubrał się w płaszcz i chciał iść; stanął na chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, a doktor znajdował jego zachowanie się coraz szczególniejszem.

Wreszcie odwrócił się Delphin na pomoście i uścisnął mu rękę, szepcąc:

— Pozdrów pan siostrę i powiedz jej odemnie... — reszta zginęła w czemś podobnem do łkania.

Szambelan wysiadł na ląd i odjechał.

Wczesnym rankiem parowiec angielski podniósł kotwicę. Rozpoczęto strzelać z armat, a gdy przebrzmiało dwadzieścia jeden uroczystych wystrzałów, wydawało się wszystkim, że ze starym krajem raz na zawsze skończyli rachunki.

XXI.

Tych dwadzieścia jeden wystrzałów znaczyło, że król wraca do Sztokholmu. Więcej dla pism opozycyjnych nie było potrzeba, aby się rzucić z wszelką bezwzględnością na rząd. Cała prasa się poruszyła; wygrzebano wszystkie punkty sporne; każde stronnictwo wytoczyło swoje armaty, swoje wymyślania, a abonenci cieszyli się z tej walki na papierze.

Rycerz Falck-Olsen, nie troszczył się bynajmniej o burzę polityczną; chodził następnej niedzieli po pokoju i co chwila

stawał przed lustrem. Żona przystąpiła do niego i z dumą patrzyła na wstążeczkę orderową w klapie jego surduta.

— Słuchaj, żono, musimy jechać!

— Jechać? Po co? Nie jesteś zadowolony? Masz go przecież!

— Ba, ale order, toć przecie tylko pierwszy krok.

— Nie, Boże drogi! — zawołała gniewnie pani Falck-Olsen — w jednej chwili stałeś się wielkim człowiekiem! Jeżeli order jest tylko pierwszym krokiem, to chciałabym wiedzieć, co jest drugim?

— Jeszcze jeden order! — odparł mąż i wyszedł z salonu.

Powiedziano mu mianowicie, że niemieccy książęta, gdy jadą do wód, to zabierają z sobą ordery. Wtedy łatwo dostać order, szczególniej, jeżeli się już ma jeden.

Rodzina Falck-Olsenów pojechała zatem do Ems, a w kilka tygodni potem otrzymała Karolina Hjelm list od Ludwiki, w którym między innemi było napisano:

„Nie możesz sobie wyobrazić, jak to jest przyjemnie obudzić się rano i nie myśleć o Hansie. Że też mogłam być taka głupia. Nie był wcale dla mnie odpowiedni. Wczoraj jechaliśmy na osłach, i jakiś Anglik, ojciec mówił, że to lord, jest dziś tak zbity, że nie może na tem siedzieć, na czem siedzimy wszyscy“...

Karolina była tak nieostrożną, że przeczytała to matce; następnego dnia rzekła pani Hjelm do kuzynka Hansa:

— Miałeś słuszność co do Ludwiki Fack-Olsen. Zagranica zepsuła ją w zupełności.

Kuzynek Hans westchnął.

Anders, wszechpotężny, stał się widocznie idjotą. Przez kilka dni włóczył się po ministerstwie, wyprawiając skandale, a to przez opowiadanie historyj, które nigdy nie powinny być opowiadane.

Minister Bennechen ujrzał się zmuszony do energicznego wystąpienia. Przy pomocy redaktora Mortensena udało mu się umieścić wiernego sługę u niejakiej pani Gluncke, która utrzymywała szkołę szycia dla młodych dziewcząt.

Tutaj powodziło mu się nadzwyczaj dobrze. Pokazało się bowiem, że w późniejszych latach bardzo pilnie odnosił pieniądze do kasy oszczędności, a przepędziwszy jakiś czas wśród wesołych dziewcząt Malli Bimbam, zapomniał zupełnie o ministerstwie.

Zaczął pilnie uczęszczać do kościoła — zawsze się modlił po stronie kobiet — a wiele młodych pań z przyjemnością podtrzymywało jego książkę do nabożeństwa; było to budującem widzieć tę łagodną twarz i te białe włosy, spadające na kołnierz.

Tymczasem opozycja nie spoczywała. Z początku dziwiono się, co ma sędzia Hierth do roboty w ministerstwie, człowiek, którego nikt nie znał. Potem wskazywano na ohydny skandal w biurze ministra Bennechena: miały zginąć dokumenty, odkryto jakieś tajne schowki itd.

Pogłoski ustne były jeszcze okropniejsze: zajmowały się jakąś kobietą, nazwiskiem Gluncke, która miała mieć ścisłe stosunki z Bennechenem. Prócz tego całe miasto wiedziało, że dwoje dzieci ministra po okropnej scenie w domu uciekło na łeb na szyję do Ameryki. Szczególniej jednak zajmowano się zniknięciem Andersa, wszechpotężnego woźnego ministerjalnego.

Minister Bennechen jednak nosił głowę wyżej jeszcze niż zwykle, miał ten sam pełen godności uśmiech co zawsze. A niepokój wzrastał wciąż w ministerstwie. Każdego rana rzucano się na *Prawdziwego przyjaciela ludu;* ten jednak zachowywał się spokojnie; nie było żadnego wstępnego artykułu, któryby krzykaczom mógł zamknąć usta.

— Teraz Mortensen musi wystąpić! — zawołał kopista Oerseth pewnego razu i uderzył ręką w stół.

— Naturalnie musi — dodał Hierth.

Całe ministerstwo godziło się na to. Dlatego też umysły były naprężone gdy wszedł redaktor i jeszcze mokry dziennik rzucił na stół.

Hierth złapał gazetę i przeczytał:

— Krzykacze i plotkarze.

Nareszcie!

Najpierw artykuł konstatował, że opozycja jest bezsilną, gdyż ucieka się do babskich plotek, a potem sytuację polityczną uważał za pomyślną.

„Że — czytał już sam Mortensen dalej — tak codzienny wypadek, jak usunięcie starego woźnego, mógł narobić takiego skandalu, to jest to znak czasu, na który trzeba zwrócić uwagę. Jest w tem coś, co zawczasu trzeba wykorzenić, jeżeli nie ma później przynieść szkody naszemu życiu państwowemu.

„Jestto zakorzeniona w niskich charakterach nienawiść do przewagi i powagi, która teraz zwraca się przeciwko władzy przez Boga ustanowionej, wkracza w życie rodzinne i grozi doprowadzeniem społeczeństwa do anarchji.

„Zapewne jest wielu między nami, którzy uspakajają się tem, że nasz stan urzędniczy wiele wytrzymać może — i słusznie. Ale mimo to do bolączki nóż przyłożyć należy, aby się zaraza nie szerzyła.

„Jeżeli się to wkrótce nie stanie, będziemy mieli obraz wzburzonego ludu, urągającego prawu i jego kierownikom.

„Dlatego czuwajmy nad znakiem czasu, zedrzyjmy zasłonę ze złych duchów, niech wrócą do tych ciemności, w których wyrosły“.

Powstał ogólny zachwyt.

Oerseth zacierał ręce.

— Widzi pan — wołał — to racja! Słyszałeś papo Hansen? To było coś dla was!

Stary Hansen nachylił się nad stosem aktów, wszyscy inni uczuli jakąś ulgę. Skandal zmienił się w bagatelkę, a krzykacze dostali za swoje.

Mortensen obejrzał się dokoła i rzekł:

— No i cóż znaczylibyście wy bezemnie? Czyż istnieje większe błogosławieństwo dla kraju, jak oświecona, prawdomówna i uczciwie myśląca prasa?

Mortensen mówił to ze swoim dwuznacznym uśmiechem; nie można było nigdy być pewnym, czy myślał poważnie, czy sarkastycznie. Tym razem jednak nie śmiał się nikt; w tej chwili bowiem zdawało się istotnie wszystkim, że Mortensen miał słuszność...

DWA SONETY.

UCIECZKA

Jeszcze plamy czerwone, pożarów zwiastuny,
Krwawiły nocne niebo, jeszcze okrzyk mściwy
Rozbrzmiewał się po lasach, a w stepach tabuny,
Rżąc z przestrachu, na wiatry rozpuszczały grzywy —

Gdy on — ten jaskiniowiec krwi i łupu chciwy,
Spoczywając pod dębem i patrząc na łuny,
Przypadkiem łuku swego dotknął się cięciwy
I usłyszał dźwięk rzewny, dźwięk drgającej struny.

Jakieś dziwne, nieznane wstrząsnęły nim dreszcze.
Przymknął oczy i w strunę potrącił raz jeszcze
I raz jeszcze usłyszał dźwięk tkliwy, tajemny...

Nagle zerwał się z trwogą, łuk uchwycił w palce,
I nieznane uczucia chcąc przygłuszyć w walce,
Przebiegł szybko równinę i zapadł w las ciemny.

DZWON PRZESZŁOŚCI

Stara, smukła wieżyca, pełna nietoperzy,
Opleciona przez dębów zczerniałe konary,
Sterczy w mroku. W jej wnętrzu śpi olbrzym, dwon stary,
Posępny, nieruchomy mieszkaniec tej wieży.

U stóp serce strzaskane pośród złomów leży.
Nad dzwonem nocnych ptaków unoszą się chmury,
Czasami sucha gałąź przedrze się przez szpary
I, wichrem poruszona, głucho w spiż uderzy.

Lub czasem o północy nieznani przybysze
Duchy zmarłych pokoleń wtargną w ciche mury,
Podnoszą ręce w górę i ciągną za sznury,

Chcąc zbudzić dawne echa, grobów przerwać ciszę.
Naówczas dzwon w ciemnościach zwolna się kołysze —
Lecz nie wyda już głosu... Śpi starzec ponury.

Józef Klemensiewicz.

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Nazajutrz przed wieczorem, znalazł się Albin znowu w ulicy naprzeciw okien mieszkania Malwiny i znowu przemierzać począł ulicę szybkim krokiem tam i napowrót, spoglądając w górę, czy jej nie ujrzy w oknie. Nadaremnie! dziś nie miał szczęścia.

Powtarzał próbę przez parę dni, bezskutecznie. Każdy taki wieczór drażnił go jeszcze bardziej a namiętność rosła z każdym dniem; a podsycała ją w nim ta okoliczność, że nie mógł obaczyć Malwiny. Może gdyby ją był widział, pomówił z nią parę słów, to by go uspokoiło. A tak był w niepewności, czy ona w ogóle mu sprzyja, czy nie szydzi z niego? Co mu w końcu z tego przyjdzie, gdy będzie mieć pewność, że mu sprzyja; a jednak — poczynał być wielkim samolubem.

Ba! gdyby był wolnym?! Poszedł by do niej, poszedł niezawodnie. W jego pozycji, mógł się tylko jak złodziej po cudzą własność skradać, pocichu i ostrożnie, ażeby świat nie krzyknął na alarm.

Ten jego niepokój, tę wewnętrzną walkę Albina z samym sobą, Nina obserwowała bacznie, ale przysiągłszy sobie nie dać mężowi poznać po sobie, iż wie o wszystkiem, choć ją to bolało niezmiernie, nie dawała mu w niczem spostrzedz, jakoby o czemś wiedziała. Rzec można, że była dla męża bardziej nawet serdeczną.

Wiedziała przecież a raczej przeczuła, że ta gwałtowna namiętność musi znaleźć rychło swój koniec i dlatego jej tamy nie stawiała.

Albin ze swej strony był pewny, że żona niczego się nie domyśla. Nie dziwno, traktował ją zawsze jeszcze jak małe dziecko, ani się domyślając, jaka w Ninie zaszła przemiana, którą on sam spowodował. Z kolei on teraz zmienił się poniekąd w naiwnego, wierzącego, że Nina bierze to zupełnie serjo, gdy on co wieczora miał w mieście jakiś interes do załatwienia, on, który przedtem nigdy z domu nie wychodził, że aż go Nina nieraz przemocą wydalać musiała. A jak się kłamać nauczył w owych dniach niewielu! — I gdyby nie ból serdeczny, który serce Niny niekiedy przejmował, byłaby mogła nieraz uśmiać się szczerze z konceptów, które Albinowi przychodziły do głowy, dla wywikłania się z fałszywej względem żony sytuacji. Stawał się czemraz więcej podobny do muchy, która trzepocze się z wysileniem w pajęczej siatce, a nie może się z niej uwolnić.

Spokojny o Ninę, w domu przynajmniej, postanowił Albin, bądź co bądź, zobaczyć się z Malwiną. Długo myślał nad sposobem, w jaki to uczynić. Do domu przecież do niej pójść nie mógł. Jakżeby taka wizyta wyglądała? Coby nareszcie powiedziała ciotka Malwiny? Nie, tak nie można; i w końcu, coby on jej mógł powiedzieć w obecności ciotki? Czy mógłby jej choć jednem słowem dać do poznania, ile cierpi przez nią. — Szaloną mu się zaraz wydała taka myśl wizyty.

Na ulicy zaczepiać jej nie mógł. W tej sferze, z jakiej oboje pochodzili, tego rodzaju rzeczy nie uchodzą. A więc

co miał począć? Myślał, myślał, ale nie mógł niczego wymyśleć.

A gdyby tak do niej napisał?... Zrazu roześmiał się w duchu sam ze siebie na ten projekt studencki, ale niebawem począł go uważniej rozbierać, i wydał mu się mniej śmiesznym. Przyznał nawet, że ta droga mniej niebezpieczną dla niego i dla Malwiny także, że ostatecznie, gdyby odrzuciła jego wyznania gorące, co najwyżej może mu nie odpowie, a oszczędzi sobie przykrej chwili, gdyby stanąć miał przed nią osobiście.

Uznał, że tak będzie najlepiej; ostatecznie gdy palnie głupstwo, nikt o tem wiedzieć nie będzie.

Uchwycił się tej myśli, jak rozbitek deski ratunkowej, i wieczorem, udawszy przed żoną ból głowy, zamknął się w swoim pokoju, a znalazłszy się sam, zasiadł do pisania listu. Kiedy jednak przyszło pierwszy wyraz postawić, zawahał się. Odezwało się w nim sumienie, że tak niegodnie Ninę okłamywał. Parę razy już stawiał pióro na arkuszyku papieru i nie mógł je posunąć dalej. Twarz mu pałała, jak zbrodniarzowi przed spełnieniem występku, ręka drżała. A równocześnie usprawiedliwiał się sam przed sobą, że jeszcze nic złego nie robi, że czyni tylko to, co robi nieskończenie wielka liczba, jemu podobnych mężczyzn, którym się łatwa gratka trafia. Prawie pewnym był, że Malwina nie odrzuci go z miejsca i ta pewność właśnie pchała go naprzód. Gdyby tak Nina nadeszła teraz? — pomyślał — coby jej powiedział? Począł nadsłuchiwać, czy w ciszy nocnej nie usłyszy szelestu jej sukni — ale było spokojnie dokoła.

W tej walce z samym sobą, dał przewagę namiętności do Malwiny i zdecydował się nareszcie na napisanie.

Parę razy zaczynał i darł następnie kartki, niemogąc dojść z samym sobą do ładu. Nareszcie się przymusił.

— Pani! — pisał — Niewiem jak nazwiesz mój krok, że ośmielam się na tej drodze do ciebie odzywać. Nazwiesz go zapewne tak samo jak mnie, a więc szalonym, ale nie uwierzysz, ile cierpię od owego pamiętnego wieczoru, kiedy byłaś dla mnie tyle łaskawą, a bardziej jeszcze od tego dnia, kiedy cię zdala na ulicy spostrzegłem. Być może, że gniewać się będziesz o to z mej strony szaleństwo; być może, że wzgardzisz mną po tym liście. Ale nie mogę się przemódz, ażeby ci nie przesłać wyrazów hołdu i uwielbienia, jakimi dla ciebie zawsze byłem przejęty, a z jakiemi dziś błagam cię o możliwość widzenia się z tobą, Pani. Wiem i czuję to, że mi sprzyjasz, wiem, że zechcesz wejść w moje wyjątkowe położenie, które z ominięciem form światowych zmusza mnie na innej niż zwyczajna, drodze z tobą się porozumieć i dlatego błagam cię o Pani! wysłuchaj mej prośby gorącej.

Skończył i odetchnął głęboko, jak po najcięższej pracy. Dłońmi zakrył rozpaloną twarz, wpatrując się w zapisaną kartkę papieru, jakby na niej wyrok śmierci sam dla siebie napisał. Czyż miał się jednak cofać teraz, gdy zamierzał uczynić krok stanowczy? — I dlaczego miałby się cofać? — Wszak — rozumował — idzie tu o przelotną miłostkę, która przejdzie tak jak przyszła. Ot! małe w życiu monotonnem urozmaicenie, które głębszych następstw nie przyniesie. Kochał przecież Ninę, i nie rzucił by jej za dziesięć takich Malwin, a jednak nie mógł sobie zdać sprawy, co go ciągnie do tej czarnookiej Malwiny, o której wiedział, że jest tylko kokietą.

Ha! niech się co chce dzieje — pomyślał — muszę tak lub owak, zakończyć to wszystko. I jakby się bał, ażeby się inaczej nie namyśleć, włożył szybko list w przygotowaną kopertę, zalepił i położywszy adres drżącą ręką, schował go do biurka, zamykając po cichu, ażeby nie robić szelestu, a tem samem nie zdradzić, iż jeszcze nie śpi.

Zgasił światło; księżyc świecił jasno, przy jego więc blasku, rozebrał się i położył do łóżka.

Teraz, gdy się nieco uspokoił, poczynały przychodzić refleksje. Parę razy zamierzał wstać i podrzeć ten list nieszczęsny, ale na wspomnienie Malwiny, porzucił ten zamiar i zasnął tak, śniąc może o rozkosznym jej uśmiechu i tych oczach palących, które mu ani we dnie, ani w nocy od tylu tygodni spokoju nie dawały.

Niespokojnym był sen Albina; rano wstawszy uczuł się tak zmęczonym, jakby się wcale nie kładł do łóżka, jednak przy Ninie zrobił twarz wesołą. Skarżył się tylko, że go głowa jeszcze boli i że wyjdzie na miasto przejść się po świeżem powietrzu, a może i do lekarza wstąpi.

Nina nie miała nic przeciw temu; swoją drogą nie bardzo wierzyła w chorobę męża. Była nawet przekonaną, że jest to zwyczajny jego wykręt, jakich było niemało w ostatnich czasach, gdy chciał sam wyjść z domu, bez towarzystwa żony. Odszedł do swego pokoju niby przygnębiony bolem głowy, kiedy jednak znalazł się w nim sam, gwałtownym ruchem przypadł do biurka, wyjął zeń list przygotowany i wsunąwszy go w kieszeń, ubrał futro i niebawem wyszedł z domu.

Zanim wrzucił list do skrzynki pocztowej, przeszedł przez ulicę po pod okna Malwiny, jakby ją chciał uwiadomić o swym zamiarze. Szaleniec, nie pomyślał nawet o tem, że Malwina o tej porze niezwykła jeszcze z łóżka wstawać! Ale uczynił to tak z przyzwyczajenia. Coś go teraz, czy miał interes tamtędy przechodzić, czy nie miał, w tę ulicę ciągnęło. Zawiedziony w nadziejach zobaczenia swej czarodziejki, westchnął smutno i na rogu ulicy wrzucił nareszcie list do skrzynki. Gdy to zrobił, żal mu się zrobiło tej zapisanej kartki, która pójdzie zwykłą koleją wszystkich korespondencyj. Raz jeszcze wyrzucał sobie, że głupstwo może palnął, ale już było po niewczasie.

Z głową pełną myśli o tem, jak Malwina przyjmie ten krok jego, szedł ku domowi, chcąc przedłużyć o ile możności czas dojścia do niego. Liczył sobie w duchu, za ile godzin list znajdzie się w rękach Malwiny. Był pewnym, że do rąk jej dojdzie, nie miała bowiem nikogo takiego, ktoby przejmował jej korespondencję, a stara ciotka Malwiny, do tego rodzaju spraw siostrzenicy, zupełnie się nie mięszała. Spokojnym był przynajmniej o to, że w razie jakichkolwiek wyników jego pisania, tajemnica utonie pomiędzy niemi dwojgiem. Dość, że się Nina o tem nic nie dowie; to go przynajmniej uspokajało, bo przecież Malwina, jeżeli przed kim, to przed jego żoną się nie pochwali.

Na Ninie zależało mu stokroć bardziej, ażeby się nie martwiła i napewno nieodpowiedzenie na list jego ze strony Malwiny, a choćby nawet i oburzenie jej, jeszczeby mu takiej nie zrobiło przykrości, jak dąsy Niny, dla której, teraz gdy zdradzać ją poczynał, czuł daleko więcej względów i radby jej krzywdę o której sądził, że się nie domyślała, wynagrodzić.

Gdy porównywał sprzeczne te dwa uczucia, ze sobą: skłonność ku Malwinie i miłość dla Niny, sam sobie nie mógł zdać sprawy, co się właściwie z nim działo. A jednak to uczucie dla Malwiny, której nie mógł w żaden sposób nazwać miłośnem, opanowało jego jestestwo, paliło mu krew, działywało na zmysły, jak trunek nadmiernie wypity. Rad był gorąco z tego się wyleczyć, wyjść z tego niezdrowego położenia, na które, jako jedyne lekarstwo, widział zaspokojenie się jej widokiem. Choćby jeszcze raz być z nią chwil parę, raz jeszcze słyszeć jej głos pieszczony, raz jeszcze po-

patrzeć w te palące, głębokie oczy, a potem zapomnieć ją na zawsze, uciec od niej i nie oderwać się więcej od kochanej Niny.

Wszystkie te projekty snuły mu się po głowie i nie mógł z nimi dojść do ładu. Oprzytomniał dopiero gdy się ujrzał przed domem swoim, gdzie go w oknie stojąca, z uśmiechem powitała Nina. Na ten widok żal mu się zrobiło tego dobrego anioła, którego zdradzał. Znowu sobie w duchu obiecywał poprawę i nawet — pomyślał, — żeby dobrze było, gdyby Malwina pominęła milczeniem jego list, który mu się teraz strasznie głupim wydawał. Postąpił sobie — pomyślał — jak żak, jak student, dający pensjonarce schadzkę miłosną. Zły był sam na siebie, a musiał przybrać minę obojętną, ażeby mu Nina z oczu czego nie wyczytała.

Gdy wszedł, Nina stojąca na środku pokoju, żartobliwym tonem go powitała:

— Już mój pan wrócił? — zapytała. — Jakże z główką?

Powiedziane to było takim tonem, że Albinowi się zdawało, iż żona drwi sobie z niego najformalniej. Wpatrzył się w nią, nie odpowiadając, ale ona naturalnym już tonem zapytała.

— Byłeś u lekarza?

— Nie — odparł — już mnie nie boli.

— Spodziewałam się tego — z jakimś lekkim, niezbadanym uśmiechem zagadnęła go — przechadzka po świeżem powietrzu cię orzeźwiła. Musiałeś źle spać, kochany mężulku.

— O... owszem... spałem — dodał szybko, nie wiedząc, zkąd Nina może wiedzieć o tem, jak spędził noc dzisiejszą. — Zkąd przypuszczasz — podchwycił — że źle spałem?

— Ja nie przypuszczam — odparła — Ja — dodała — spałam doskonale, jak to mówią, snem sprawiedliwego.

— To niby ja miałbym być niesprawiedliwym? — uśmiechnął się na te słowa Albin.

— Ale cóż znowu, Albisiu, tego o tobie nie powiadam, ale widzisz mój drogi, nabijasz sobie czemś niepotrzebnie głowę, a to sen odbiera.

Słowo „niepotrzebnie“ umyślnie może przeciągnęła, tak że Albin, choćby był i jak niedomyślny, musiał się domyśleć, że Nina coś przypuszcza.

Nie wiedział, że serce kochającej kobiety przeczuje nie jedno, o czem się nawet filozofom nie śniło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z OSTATNICH DNI KURLANDJI.

(Aus Polens und Kurlands letzten Tagen. Memoiren des Baron Karl Heinrich Heyking 1752—1796 r. In deutscher Bearbeitung nebst Anmerkungen und Beilagen herausgegeben von Alfons Heyking senior. Berlin 1897).

Pod powyższym tytułem wyszła w świat książka, opracowana i wydana przez męża, który dał się już nieraz poznać, jako autor cennych monografji, dotyczących historji Kurlandji. To też i w tej książce dopiski wydawcy, nazwane skromnie „uwagami i uzupełnieniami“, stanowią właściwie oryginalne rozprawy źródłowe, mające same w sobie wartość naukową niepowszednią. Sądzimy, że pobieżne zapoznanie czytelników z treścią „pamiętników“ zachęci niejednego do przeczytania ich w całości.

Autor pamiętników, jako kilkunastoletni wyrostek, przybył do Warszawy z ojcem w 1763 r., kiedy książę Karol, syn Augusta III., który w 1759 r. wydał był inwestyturę synowi na księstwo lenne Kurlandji i Semigalji, musiał ustąpić miejsca E. Bironowi, któremu Piotr III. swobodę, Katarzyna tron i bogactwo przywrócili. Heyking ojciec, jako Oberhauptman Mitawski z ramienia księcia Karola, nie chciał służyć nowemu panu i wraz z wydalonym księciem Karolem podążył do Warszawy, dokąd wkrótce rodzinę sprowadził. Tutaj autor pamiętników otrzymał staranne wychowanie i wykształcił się pod kierunkiem zdolnych nauczycieli, że zaś ojciec wcześnie go odumarł, więc rychło nauczył się sam myśleć o sobie. Licząc na poparcie księcia Karola, udał się dla karjery do Drezna. Stąd został przez pana swego delegowany do Cieszyna, gdzie wówczas (r. 1768) było siedlisko konfederatów barskich, u których miał popierać sprawę powrotu ks. Karola na tron kurlandzki. W Cieszynie młody Heyking zostaje sekretarzem konfederacji z rangą podpułkownika. Stąd rada generalna konfederacka przeniosła się do Preszowa na Węgrzech, następnie, gdy Austrja wymówiła konfederatom gościnność, udali się oni do Landshuty w Bawarji, gdzie Heyking korzystał z protekcji księcia Trewiru i księżniczki Bawarskiej, rodzeństwa księcia Karola. Po zupełnem rozproszeniu się konfederatów sekretarz generalny wraca do Warszawy gdzie zbliżywszy się do króla Stanisława, otrzymuje stanowisko w wojsku litewskiem i, zachowując godność szambelana księcia Trewiru, zostaje adjutantem hetmana Ogińskiego. W Warszawie bywał Heyking u wszystkich osób wybitnych i wpływowych i wszędzie był mile widziany. Do charakterystyki ówczesnego społeczeństwa pamiętniki zawierają nadzwyczaj wiele danych, Heyking, szczerze przywiązany do Polski, pragnął ściślejszego połączenia Kurlandji z Rzecząpospolitą, większego zbliżenia się rycerstwa kurlandzkiego ze szlachtą polską; słusznie sądził on, że tą drogą dałyby się zdobyć poważne korzyści nie tylko dla Kurlandji. W tym celu projektował utworzenie przez rycerstwo kurlandzkie pułku gwardji kurlandzkiej równoległe do pułków koronnych i litewskich. Król i Czartoryski chętni byli temu projektowi, który jednak przez intrygi delegacji kurlandzkiej (Derpera) został unicestwiony w zarodku. Nie widząc dla siebie widoków na przyszłość, Heyking postanowił porzucić służbę w wojsku litewskiem i przejść na służbę rosyjską, marząc o karjerze dyplomatycznej, która więcej przedstawiała dlań powabu, niż wojskowość. Wziąwszy dymisję z rangą pułkownika i zaopatrzony w listy polecające od Stackelberga i od króla do hr. Panina, udał się Heyking do Petersburga, gdzie został chętnie przyjęty do wojska z rangą majora (rangi w wojsku polsko-litewskiem liczono w obcych armjach o dwa stopnie niżej). Tęsknił jednak

Heyking do Warszawy i rychło wyprosił sobie polecenie odwiezienia papierów do Stackelberga w charakterze feldjegra, a po dłuższym pobycie w Warszawie wrócił znów do Petersburga, aby wziąć dymisję z pułku dla poratowania zdrowia. Następnie wystarał się w stronach rodzinnych o stanowisko przedstawiciela kurlandzkiego przy Rzeczypospolitej. Z powierzonej sobie roli na sejmie Grodzieńskim 1787 r. wywiązał się Heyking bardzo zręcznie ku zadowoleniu tak ziomków swoich, jak i szlachty polskiej. Potem, skorzystawszy z wolnego czasu, puścił się za granicę, a po niejakim czasie udał się do Berlina, zamierzając wstąpić na służbę dyplomatyczną przy dworze pruskim, stracił bowiem nadzieję zrobienia karjery w Polsce. Ale i w Berlinie nadzieja go zawiodła. Zachęcony przez posła szwedzkiego w Berlinie, ofiarował usługi swoje dworowi szwedzkiemu i został tajnym korespondentem osobistym króla Gustawa. Skutkiem listów Heykinga przysłano do Warszawy Engeströma i Szwecja zajęła w sprawach polskich stanowisko wrogie względem Rosji, a przyjazne dla polityki pruskiej. W roku 1789 Heyking porzucił służbę przy księciu Piotrze Kurlandzkim, który w miarę wzrostu wpływu polityki pruskiej i Lucchesiniego skłaniał się ku stronie Berlina. Jednocześnie prawie Heyking został urzędowym przedstawicielem rycerstwa kurlandzkiego na sejmie Czteroletnim. Książę, jako głowa rządu, miał swego przedstawiciela, szlachta zaś jednocześnie korzystała z prawa mianowania własnego delegata przy rządzie polskim. W tym charakterze Heyking energicznie bronił spraw stanowych rycerstwa przeciw samowładnym roszczeniom księcia, popieranego przez króla i jego partję oraz Lucchesiniego. Książę jednak przez delegatów swoich potrafił pozyskać większość sejmową i zwyciężył. Wtedy szlachta kurlandzka poleciła Heykingowi przystąpić w jej imieniu do Targowicy i szukać u Katarzyny poparcia przeciw księciu i sejmowi. Kiedy w 1793 r. książę Piotr pogodził się ze stanem rycerskim, Heyking stanął po jego stronie, ofiarował mu usługi swoje i został przez niego wysłany do Petersburga dla przeciwdziałania intrygom Hovena. Po upadku Polski Heyking projektował oddanie Kurlandji pod zwierzchnictwo Rosji na tych samych zasadach, na których dotąd wiązał ją stosunek z Rzecząpospolitą, kiedy partja Hovena dążyła do zmienienia rządów książęcych i bezwzględnego poddania się Rosji. Jak wiadomo, ostatnia partja zwyciężyła. Po zaprowadzeniu rządów rosyjskich Heyking został prezesem wyższego trybunału cywilnego w Kurlandji.

W sprawozdaniu pobieżnem pragnąłem dać jakie takie pojęcie o treści pamiętników, mających wartość rzetelną dla historji ostatnich dni Rzeczypospolitej.

Witold Grabowski.

WSPÓŁCZESNA LITERATURA RUSIŃSKA.

Szkic literacki.

Ciąg dalszy.

Zbawca ten zjawia się literaturze rusińskiej w osobie Dragomanowa. Występuje on wtedy, kiedy literaturze rusińskiej osieroconej śmiercią Szewczenki, zgnębionej i wypartej z Rosji, zaumarłej w Galicji, najwięcej takiej pomocy potrzeba. On podnosi i ożywia to, co dotąd na gruncie ukraińskim wyrosło, opiera literaturę rusińską na szerokich, niewzruszonych podstawach naukowych, a jego prace stają się punktem wyjścia i programem dla wielu pokoleń następnych.

Jeszcze w roku 1876 powstaje we Lwowie, staraniem ukrainców czasopismo „Prawda“. Równocześnie zaczyna się pojawiać w Galicji niemało książek pisanych na Ukrainie, gdzie cenzura staje się coraz surowszą. Rwące się do pracy młode siły w Galicji znachodzą teraz pożywienie i podporę. Przez Ukrainę zaznajamiają się z ojczystym językiem i ideami zachodniemi, znachodzą ujście dla swych gorących, chociaż nie zupełnie świadomych marzeń o wolności, równości i braterstwie. Niemało jednak wody upływa w Dniestrze, zanim ów zapał i praca nad uświadomieniem drzemiących Galicjan, przyniosły chociażby jakie takie rezultaty. Porywy i dążenia oświeceńszych i młodszych natrafiają na twardą opokę obojętności, nieuctwa i lenistwa ówczesnej pseudo-inteligencji. Prawie każde czysto rusińskie słowo, i chociażby na niewinniejsza idea zachodnia, spotyka się z oporem nieprzebierającym w środkach. Właśnie wtedy, w następstwie niepomyślnej dla Austrji wojny z Prusami, wzmagają się nadzieje otwartych przyjaciół Moskwy. Na zwolenników ruchu odrodzenia, który wówczas znaczy to samo co ukrainofilstwo, spadają oszczerstwa, denuncjacje i prześladowania. Do ogólnego chaosu opinji, polityki, stosunków społecznych, religijnych i towarzyskich w owych czasach, przyłącza się jeszcze i kwestja pisowni. Twarde i miękkie znaki rozpalają umysły partyzantów. Sprawa ruska, zamiast posuwać się naprzód, strzęgnie w bagnie płytkiej, bezużytecznej polemiki o obrządek, samoistność języka galicyjskiego, (w przeciwieństwie do ukraińskiego) i pisownię. Z wyjątkiem Fed'kowicza, Partyckiego, Ogonowskiego, Żelechiwskiego i Nawrockiego, którzy pracują jak umieją na niwie ojczystej, mało czem może pochlubić się owa epoka. Przychodzi wreszcie pamiętny rok 1876.

Dragomanów zmuszony porzucić katedrę historji w Kijowie, udaje się do Genewy i zwraca swą uwagę na Galicję. Zakłada w Genewie drukarnię i wydaje szereg książek, któremi bezstronnie, z nadzwyczajną bystrością i gruntownością oświetla sprawę ukraińską. Szeregiem znakomitych prac o literaturach: wallońskiej, flamandzkiej i celtyckiej wykazuje, że dążenie narodu rusińskiego do odrodzenia swego języka i literatury nie jest w historji niczem nowem ani dziwnem. Dowodzi również, że podniesienie poziomu oświaty na Ukrainie, w Galicji i na Rusi węgierskiej pociągnęłoby za sobą niesłychanie korzystne skutki dla państw i narodów sąsiednich. Zwycięstwo sprawy rusińskiej — pisze nadto Dragomanów — będzie zwycięstwem wśród ludów słowiańskich idei demokratyczno-federacyjnej.

Ale znaczenie Dragomanowa dla literatury rusińskiej opiera

się nietylko na jego teoretycznych poglądach. Niezaprzeczenie, że światło, jakie rzuca na dzieje Ukrainy a osobliwie jej ruch literacki w wieku XIX. przyczyniają się niemało do posunięcia sprawy rusińskiej naprzód. Dragomanów jest przedewszystkiem mężem czynu. Nietylko wykazuje potrzebę oparcia literatury rusińskiej na szerokich podstawach języka ludowego i połączenia jej z ruchem umysłowym Europy zachodniej, lecz i rzeczywiście tego dokonuje. Wydaj pieśni i ustne utwory prozaiczne ludu ukraińskiego, wykazując w nich pierwiastki ogólno ludzkie i europejskie, a na ich podstawie stara się dociec ukraińskiego światopoglądu. Wychodząc zaś z zasady, że literatura każdego narodu powinna odpowiadać przedewszystkiem jego rzeczywistej potrzebie i poziomowi oświaty, w szeregu sciśle naukowych lecz niezrównanie przystępnie pisanych dzieł, podaje narodowi rusińskiemu początki naukowej wiedzy. Dalej, podaje program, jak, na tej podstawie, pokolenia następne powinny dokonywać odrodzenia narodu. Odrodzenie, to — uczy — jeśli ma być rzeczywiste, musi opierać się na ludzie, od ludu wychodzić i krok za krokiem, rzetelną, samoistną pracą postępować w ślad za drogami, które przeszły już narody zachodnie.

Myśli i działalność Dragomanowa są programem i podstawą działalności pokoleń żyjących od roku mniej więcej 1876 aż do czasów nam współczesnych, a jego znaczenie w historji kultury i piśmiennictwa rusińskiego jest tak wielkie, że od czasu wystąpienia publicznego Dragomanowa należy liczyć nowy, nam współczesny okres literatury ruińskiej.

W roku 1862 Bohdan Didyckyj, jeden z wybitniejszych ludzi biorących udział w ówczesnym ruchu umysłowym rusińskim w Galicji, wydał książeczkę, pod tytułem: „Poeziji Josyfa Fed'kowycza". Do tego tomiku wierszy Fed'kowicza dodał B. Didyckyj od siebie przedmowę, w której zaznaczył swój pogląd na współczesną literaturę rusińską i stanowisko jakie zajmuje w niej Fed'kowicz. W przedmowie tej, pisanej — mówiąc nawiasem — sztuczną mieszaniną języka rusińskiego, rosyjskiego, polskiego i cerkiewnego, streszczony jest niejako pogląd jednej części ówczesnej inteligencji rusińskiej na swój język i literaturę tak, że cały ten tomik rzuca jaskrawe światło na historję odrodzenia tejże literatury w Galicji.

Utwory Fed'kowicza pojawiły się w czasie najkrytyczniejszym dla literatury rusińskiej, mianowicie w chwili kiedy literatura rusińska zaczynała tracić możność rozwoju na Ukrainie, a nie zdołała zapuścić jeszcze korzeni w Galicji.

Fed'kowicz urodził się i wychował na Bukowinie, gdzie stosunki polityczne, religijne i językowe o wiele mniej są skomplikowane jak w Galicji. Nie doświadczył nadto szkodliwego wpływu scholastycznej nauki seminaryjnej ani języka cerkiewnego. Wykształcenie odebrał w języku niemieckim, który nie mógł zmącić czystości jego ojczystego języka. Poczuwszy w sobie talent poetycki pisał z początku w języku niemieckim, a później językiem, jakim rozmawiał na wsi, w jakim śpiewała nad jego kolebką matka i pisał albo o tem, co zatrzymał w pamięci ze wspomnień młodocianych, lub opisywał życie, jakie widział około siebie. Jego poezje pochodzące z pierwszych i ostatnich lat zawodu piśmienniczego noszą niezatarte ślady wpływu Szewczenki, a niektóre z nich są wprost z Szewczenki kopiowane; powieści jego jednak, które drukował do roku 1867 są utworami nawskroś oryginalnymi samodzielnymi. Można w pewnem znaczeniu powiedzieć, że Fed'kowicz zaczął opisywać życie bukowińskiego ludu tak, jak Turgeniew rosyjskiego, Kwitka i Marko Wowczok — ukraińskiego, Auerbach niemieckiego, Aurora Dudevant francuskiego, — oczywiście z mniejszą siłą i artyzmem. Młodzież wszakże, która czytała z zapałem Szewczenka i M. Wowczka, przyjęła jego utwory z entuzjazmem. Z czcią i uwielbieniem, przyjęła go także generacja starsza, której poglądy streszczają się we wstępnem słowie B. Didyckiego do pierwszego tomu poezyj Fed'kowicza z 1862 r. Oto są własne jego słowa: „Dla wyrażenia nawet myśli wzniosłych, popularyzować formę w sposób naturalny i niewymuszony, do tego stopnia, że myśl i forma przystępne są zarówno pojęciu ludu, ten wielki dar właściwy jest zarówno Szewczence jak Fed'kowiczowi".

„Wszystko, co dotąd stworzył w poezji Fed'kowicz, nosi na sobie niezaprzeczone piętno narodowego poetyckiego geniusza, który zaprawia swe siły na próbach do większego dzieła".

To przekonanie nie przeszkadza jednak Didyckiemu pisać swoim sztucznym żargonem w tym samym wstępie co następuje:

„Niezaprzeczonym jest faktem, że kształcąc swój język z wielką troskliwością od roku 1848 osiągnęliśmy lub osiągniemy ostatecznie to, co podobną pracą zdobyły sobie narody zachodnie, t. z. w y r o b i l i ś m y! (!) u siebie język k s i ą ż k o w y dla oświaty w tej części kraju, w której żyjemy niezbędny, lecz natomiast, n a t u r a l n y m (?) biegiem rzeczy, odbiegliśmy od ducha i formy języka ludu.

„Czy to zjawisko dla nas i dla naszej przyszłości korzystne, czy szkodliwe — nie trudno rozstrzygnąć. Ma ono swe źródło w potrzebie wykształcenia, od jakiego żaden naród europejski nie mógł się uchylić; jest nadto wynikiem naturalnym, gdyż pochodzi z ogólnego i zgodnego dążenia wykształconych umysłów. Co j e s t n i e z b ę d n e m, n a t u r a l n e m i o g ó l n i e p o ż ą d a n e m, n i e m o ż e b y ć z ł e m i s z k o d l i w e m".

Oto jest punkt wyjścia: program literacki Bohdana Didyckiego, Antoniego Pietruszewicza, I. Guszalewicza i innych, dziś po części żyjących, częścią już nieżyjących rusińskich literatów, którzy od 1848 roku pracowali lub pracują nad utworzeniem odrębnej galicyjskiej literatury. Za pół wieku pracy dotarli oni tam, gdzie literatura rosyjska stała przed laty. Trudno oznaczyć jakie rezultaty przyniosłaby ich praca za wiek cały, to jednak pewna, że już w ich założeniu leżał rozbrat z ludem i jego językiem, a dziś ich utwory są tak dla ludu jak i każdego oświeconego Rusina więcej obce, jak literatura rosyjska lub polska. Myliłby się też, ktoby myślał, że ta grupa literatów odkryła Rusinom powaby literatury rosyjskiej. Ich utwory pisane są językiem, który dla Rosjanina jest prawie niezrozumiały. Sama zaś literatura rosyjska istnieje dla nich tylko do Łomonosowa i Dierżawina. Oczywiście, że przez taki rozbrat ze życiem współczesnem tracą grunt pod nogami; był jednak czas, w latach sześćdziesiątych, kiedy o n i byli panami placu i i c h usiłowaniom należy zawdzięczyć, że literatura rusińska pomimo Fed'kowicza i wpływu utworów ukraińskich prawie do roku ośmdziesiątego nie mogła żywszym zakwitnąć rozwojem.

Już z początkiem lat sześćdziesiątych przedostają się do Galicji pisma Szewczenki, czasopismo wydawane przez Ukraińców w Petersburgu: „Osnowa", i w samym Lwowie zakłada młodzież literackie czasopisma: „Weczernyci", „Meta", „Rusałka", „Nywa" a w końcu, ze współudziałem najwybitniejszych sił literackich ukraińskich: „Prawda" (1867). Współpracownikami „Prawdy" byli: Dragomanow, Kulisz, Myrnyj, Staryćkyj, i I. Lewickyj, z których tylko pierwsi dwaj już nie żyją.

We Lwowie drukuje się nadto niemało książek pisanych na Ukrainie, wreszcie i sama młodzież galicyjska zabiera się do pracy literackiej. A jednak, pomimo wpływu Szewczenki i Marka Wowczka, i coraz to bliższych i żywszych stosunków

Galicji z Ukrainą, pomimo, że rozbudzona świadomość narodowa wytwarza żywszy ruch umysłowy i daje niezaprzeczone dodatnie rezultaty, trzeba wyznać, że od r. 1860 prawie do ośmdziesiątego, oprócz utworów Fed'kowicza prawie nic wybitniejszego nie schodzi na niwie rodzimego galicyjskiego piśmiennictwa. Spory o to, czy Rusini są samoistnym narodem, odrębnym od Rosjan i Polaków, o obrządek, abecadło, pisownię i inne „narodowe świętości" z których ówcześni narodowcy porobili sobie fetyszów, zagłuszają myśli głębsze i zdrowe.

Partja „istoryczeskaja" upatrując w ideałach i ruchu umysłowym ukraińców intrygę polską, odsądza ich od czci i wiary. Narodowcy odpłacają konserwatystom pięknem za nadobne i swą nienawiść do nich przenoszą nawet na literaturę rosyjską. Potępiają ją w czamhuł i zaznajamianie się z nią poczytują wprost za zdradę, pomimo, że naprzykład Gogol należy więcej do literatury rusińskiej jak rosyjskiej, pomimo, że ta ostatnia szła już wówczas równolegle z ruchem europejskim. Dragomonów, który waży się pisać wtedy o tej wyższości literatury rosyjskiej i radzi w braku własnej zaznajamiać się na razie z nią, a ludowi podać przedewszyskiem w jego języku literaturę, któraby zadowalniała jego potrzeby, uchodzi po prostu za zaprzedańca. Kulisz pisze wówczas niewiele a utwory jego nie cieszą się popularnością. Z innych tylko Panas Myrnyj i J. Lewickyj posiadają talent wybitniejszy. Utwory Koniskiego, chociaż pisane językiem rusińskim bez zarzutu, pozbawione są jednak głębszego podkładu myśli i szerszego światopoglądu. Znacznie więcej talentu powieściarskiego posiada J. Lewickyj, znany pod pseudonimem „Neczuj". Ten obok niezwyczajnej znajomości i bogactwa języka posiada też większy dar obserwacyjny, bystrzejszą psychologię, zręczność w intrydze i budowie. Pierwsze też jego dzieła zapowiadały powieściopisarza o szerokim społeczno-psychicznym zakroju, z niemałą siłą realistyczną. Niestety, później te przymioty przestały się rozwijać. Potężny szereg jego dzieł z życia ludu i inteligencji ukraińskiej nie wychodzi po za ramki idei narodowości i popada wreszcie czem raz więcej w jednostajną manierę. Dalecy jesteśmy od odmawiania jego powieściom znaczenia w literaturzy rusińskiej. To jednak pewne, że one obracając się około jednego punktu, nie robią trwalszego wrażenia i nie zastąpią powieści, n. p. Dostojewskiego lub Tołstoja.

(Dokończenie nastąpi).

Jan Pietruszewicz.

Wiadomości artystyczne i literackie.

„Przegląd literacki" zamieszcza w ostatnim numerze bardzo ładny wiersz K. Ujejskiego (nigdzie dotychczas niedrukowany), który twórca „Skarg Jeremiego" poświęcił bratance J. I. Kraszewskiego, pani Ruklewskiej.

W Warzawie rozpoczął wychodzić nowy tygodnik literacki p. t. „Czytelnia dla wszystkich".

Artysta sceny krakowskiej, znany z występów ostatnich we Lwowie, p. Józef Śliwicki gości obecnie w teatrze warszawskim. Krytyka nie szczędzi mu pochwał.

„Ver sacrum" w ostatnim zeszycie umieszcza reprodukcje witraży, podług rysunku Stanisława Wyspiańskiego.

Nestor prawników warszawskich p. Józef Karpiński wydał dzieło pt. „Słowa święte, pełne boskiej mądrości, w naukach, odpowiedziach, przypowieściach i przepowiedniach Jezusa Chrystusa, z pism ewangielistów wybrane".

Na wystawie „Towarzystwa zachęty sztuk pięknych" w Warszawie, budzi powszechne zajęcie — obok „Dirce chrześcjańskiej" Siemiradzkiego – obraz W. Gersona: „Kazimierz Odnowiciel".

W Paryżu stanie niebawem na placu „Komedji francuskiej" pomnik Musseta, dłuta rzeźbiarza Mercie'a.

„Farbiarze" jednoaktowa komedja A. Walewskiego wystawioną zostanie w tych dniach w teatrze „Letnim" w Warszawie.

Arcydzieło historyczne ks. W. Kalinki: „Sejm czteroletni" ukazało się w przekładzie niemieckim. Książkę wydała firma Mittlera w Berlinie.

Dr. F. Bylicki wydał w osobnej odbitce rzecz p. t. „Musik und Volksmusik" umieszczoną pierwotnie w dziele „Oesterreichische Monarchie in Wort und Bild", w częś i poświęconej Galicji.

Pomnik Brahmsa odsłonięto w Karlsbadzie.

„Meir Ezofowicz" znana powieść Elizy Orzeszkowej wyszła obecnie z pod prasy w przekładzie angielskim. Dokonał go Dr. Joung. Prasa angielska oddaje utworowi naszej powieściopisarki duże pochwały.